

## Fragment 1

Exmore. Wenecja Nowego Świata. Pulsujące naczynie pompujące krew do serca Ameryki. Narośli wyrosła wokół podarunku bogów-naukowców. Prawdziwa stolica zachodniej półkuli. Jedno z kilku miejsc na ziemi, które przyciąga ludzi bardziej niż drapieznika zapach krwi. Choć jedno drugiego nie wyklucza, więc można spotkać tutaj wielu polujących na kolejną ofiarę.

Janusz trzepnął Karola w ramię. Chłopak spojrzął na towarzysza i czekał na rozkaz. Otrzymał go. Krótki gest dłoni, machnięcie i wykrzywione palce. Ruszył wzdłuż skrzyń i po chwili zniknął między tymczasowym składowiskiem zboża a kupą gruzu pozostałą po starym silosie. O wypadki w dokach nie było trudno, a miejsc katastrof zawsze pilnowane słabiej od reszty. Ochroniarze nie przepadali za rejonami, które słabo znali. Poza tym nie byli zainteresowani ochroną sterty cegieł, powyginanych drutów i spękanego kamienia. Na takie okazje czyhały „Orły” albo inne bandy. W oddali pracowały wysokie dźwigi, widać było wypukłe dachy magazynów, opasłe cielska sterowców, potężne statki handlowe unoszące się na wodzie – pękate krowy pełne dóbr wszelkiego rodzaju. W takim miejscu zawsze można było trafić na kogoś lub coś godnego uwagi.

Przybiegł Tadeusz. Szepnął Januszowi na ucho parę słów. Herszt bandy uśmiechnął się i odparł coś, posyłając tamtego śladem Karola. Sam wyciągnął zza pasa długi nóż. Pomachał do Gustawa, który leżał na dachu parterowego budynku. Wskazał mu wąską alejkę i pokazał dwa palce. Obserwator skinął głową.

Po paru minutach zza rogu wyszło dwóch elegancko ubranych, otyłych mężczyzn w eleganckich frakach. Jeden z nich miał na nosie binokle i przeglądał z przejęciem dokumenty. Drugi komentował ich treść, wskazując co rusz palcem któreś z miejsc. Szli szybkim krokiem, wyraźnie się spieszyli. Po chwili zaczęli się nerwowo rozglądać, zupełnie tak, jakby zgubili drogę. Janusz aż nie mógł uwierzyć w podobne szczęście. Dwóch elegancko ubranych jegomościów. Z pewnością byli bogaci. Mieli ze sobą pieniądze, może też trochę biżuterii? A może któryś z tych nowoczesnych wynalazków, które pojawiały się ostatnio? Janusz zawsze chciał mieć przy sobie odrobinę technicznej magii Bonaków.

Dał znak i wyskoczyli niemal równocześnie. Karol i Tadeusz z tyłu, Konrad i Gustaw z przodu. Janusz efektownie wkroczył na scenę jako ostatni. Napastnicy byli niżsi i mniejsi od napadniętych niemal o połowę, w dłoniach trzymali jednak rozmaite noże i sztylety, przy pasach mieli też rewolwery, a najstarszy – Konrad – nosił na plecach strzelbę. Mimo to starsi mężczyźni wydawali się rozbawieni. Mówili na zmianę:

– Co z tym zrobisz?

– Co to jest?

– Spływaj, bo cię zdziele.

Dopiero gwizd Janusza im przerwał.

– To jest napad. Prosimy panów o opróżnienie kieszeni. Wszystkie panów kosztowności należą od teraz do mnie i mojej bandy.

Chłopcy zawtórowali mu trenowanym długo okrzykiem Orłów. Ten w binoklach wcisnął papiery w ręce drugiego i uniósł w górę laskę zakończoną białą główką.

– Słuchaj, smarkaczu, wiesz, kim ja jestem? Zostaniesz bez domu, wywalą cię na zбитy pysk! Ojca nie przyjmą do pracy, a matka będzie żyła w nędzy! Tego chcesz? Co?

Janusz przez chwilę wpatrywał się w mężczyznę. W końcu wypalił przez zaciśnięte zęby:

– Nie mam rodziców. I gównu mnie obchodzi, kim jesteś, starcze. Oddasz mi wszystko albo poderżnę ci gardło.

– Ty mała gnido! Zgnijesz w więzieniu! Wszyscy zgnijecie! Plebs! Zwyczajny plebs! Za kogo ty się masz? Żeby mnie? Mnie?! – Wykrzykując ostatnie słowa, poczerwieniał zupełnie, a w kącikach wyschniętych ust pojawiła się piana.

Janusz nie dał się wyprowadzić z równowagi. Wręcz przeciwnie – utrata panowania przez tamtego sprawiała, że czuł się od niego lepszy, inteligentniejszy i silniejszy. Skinął nieznacznie na chłopaków, którzy powoli ruszyli naprzód, wymachując bronią. Najważniejsza jest taktyka, tak sobie powtarzali. Kiedy zastraszysz ofiarę, nie będzie się broniła. To znacznie ułatwia pracę. Towarzysz zacierzewanego grubasa nie był skory do agresji. Przycisnął tylko do piersi trzymane w rękach papiery. Stał na sztywnych nogach, trzęsąc się ze strachu. Jego agresywny towarzysz w złości rzucił binokle na ziemię i zamachnął się laską na Gustawa. Chłopak odskoczył i spojrzał pytająco na Janusza. Ten zrobił wymowny gest i podniósł ręce na wysokość piersi.

– Bierzcie go! – krzyknął, a Orły rzuciły się na ofiary.

Poczęli doskakiwać i cofać się, uderzać i uchylać przed ciosami laski wyposażonej w błyszczące okucia.

W końcu Tadeusz zdołał ugodzić mężczyznę od tyłu w udo. Ten zawył i zamachnął się na oślepa. Trafił chłopaka w głowę. Tadeusz upadł na twardą powierzchnię ze skruszałego betonu. Bogacz zaklął głośno i chwycił się za ranioną kończynę. Banda tymczasem zamarła na widok nieruchomego kompana. Przez chwilę nie wiedzieli, co robić, po prostu stali w miejscu. Nie byli już rzezimieszkami, lecz zwykłymi, przerażonymi dziećmi. Karol przypadł do przyjaciela, chwycił za ramiona i zaczął potrząsać. Tadeusz jednak nie otwierał oczu. W tym czasie mężczyzna trzymający ważne dokumenty rzucił się do ucieczki. Ranny krzyknął za nim, tamten jednak ani myślał się odwrócić.

– Za nim! – ryknął Janusz.

Konrad i Gustaw natychmiast ruszyli za mężczyzną, który pospiesznie umykał z miejsca napaści. Nogi miał długie, ale krzywe, więc była szansa, że dogonić go, nim zdoła kogoś zaalarmować. Janusz tymczasem został sam na sam z ranionym. Karol wciąż trzymał w ramionach nieprzytomnego Tadeusza. Starszy człowiek uśmiechnął się krzywo.

– I co teraz? Hm? Już nie jesteś taki odważny, co, gnojku?

Janusz nie odpowiedział, tylko wydał z siebie dziki ryk i skoczył naprzód. Mężczyzna wydawał się zaskoczony. Ledwo zdążył zasłonić się laską, gdy chłopak ciął powietrze ostrym jak brzytwa nożem o zakrzywionym ostrzu. Może i wydłużony przedmiot służył zwykle do podpierania otyłego cielska, był jednak dobrą bronią w razie potrzeby. Wykonany z twardego materiału opierał się z łatwością ostrzu noża, a kto wie, może oparłby się i szabli. Janusz nie zamierzał jednak odpuścić. Wykorzystał swój niski wzrost i wciąż parł do przodu, wywijając długim ostrzem. W końcu udało mu się ciąć poprzecznie przez dłoń mężczyzny. Ten krzyknął z bólu, w powietrze trysnęła krew, dwa palce upadły bezgłośnie na ziemię.

– Uciął mi... Mały gnój...

Janusz nie czekał, aż mężczyzna otrząśnie się z szoku. Zrobił dwa kroki do przodu i wepchnął ostrze w miękki brzuch. Cylinder spadł z głowy jegomościa, oczy zaszklily się, a szczeka zacisnęła z taką siłą, że któryś z zębów nie wytrzymał i pękł.

Ciężkie ciało zważyło się na ziemię. Mężczyzna przewrócił się na plecy, charcząc i jęcząc. Trzymał się za mocno krwawiący brzuch. Janusz spojrzał na Karola.

– Co z nim? – spytał zimno.

Karol wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Oddycha, ale jest nieprzytomny.

Janusz skinął głową.

– Dasz radę go stąd zabrać?

– A... A ty?

– Ja przejrzę jego kieszenie.

Karol wpatrywał się tępo w przywódcę bandy. Ocucił go dopiero głośny krzyk .

– Śpisz? Do roboty!

Zebrał się w sobie, pochwycił Tadeusza i zaczął go stawiać na nogi. W końcu udało mu się przerzucić ciało przyjaciela przez ramię. W tym samym czasie Janusz przystąpił do przetrząsania zakamarków odzieży napadniętego bogacza. Przypięty do pasa portfel szybko znalazł nowego właściciela. Wnętrze eleganckiego ubrania mieściło w sobie kartki papieru, zegarek kieszonkowy z dewizką oraz srebrną papierošnicę z luźno wrzuconymi banknotami obok samotnego papierosa. Chłopak wszystko pakował do worka. Na koniec zdarł złote spinki z mankietów rannego i przyjrzał się jego uzębieniu. Niestety – tu nie było żadnych złotych elementów.

Janusz pochylił się nad półprzytomnym mężczyzną. Poklepał go otwartą dłonią po twarzy.

– I co teraz? – spytał. – Co, gnojku? Gdzie twoja odwaga?

Następnie wstał i rzucił się do ucieczki. Po chwili zniknął w ciasnej zabudowie doków.

## Fragment 2

Wskazał na mnie palcem i wypalił: – Ma pan bardzo dokładnie okrešić jej kondycję fizyczną i psychiczną, a nie wygłaszać opinii na temat jej zdolności do brania udziału w eksperymencie.

Taki właśnie był. Apodyktyczny. Inteligentny. Zawzięty.

Koniec końców lekarz wykonał polecenie i przedstawił szczegółowy raport, którego nie udało mi się podsłuchać. Skoro jednak znów wylądowałam na stole, oznaczało to, że mój stan rzeczywiście był „wystarczający”. Musiał to jednak orzec sam Cerber. Mój pan i władca.

Wtedy jeszcze pyskowałam. Na parę chwil poczułam się pewniej, bo nie mogli mnie już bić. Wszystkim tak bardzo zależało na mojej dobrej kondycji – by eksperyment dał jak najlepsze wyniki.

A dziś przyszedł czas na to, by wykorzystać mnie w celu, w którym zostałam sprowadzona do Przedśionka Piekła.

Postawili mnie na nogi siłą, jednak nie krzywdząc i nie kalecząc. Ten ugryziony trzymał mnie za nadgarstki. Wykręcił je na tyle mocno, by zadać mi ból, jednak nie tak, by uszkodzić stawy. Ten mądrzejszy nie miał aż takiej siły w rękach, ale i tak mógłby mnie złamać na pół, napinając biceps. Trzymał mnie za ramię, niezbyt mocno, tyle bym nie mogła się wyrwać. Wąski korytarz był ciągiem plam ciemności i światła. Tam, gdzie samotne żarówki zwisały z sufitu na śliskich kablach, widać było kamienne ściany katakumb. Po bokach znajdowało się wiele wnęk, których nie opróżniono. Leżały tam stare szkielety pokryte pajęczynami kurzu i kołdrą porostów. Niektóre patrzyły na mnie czarnymi oczodołami, inne zajmowały się własnymi sprawami – powolnym procesem defragmentacji oraz budzeniem odrady. Na końcu korytarza znajdowały się strome schody. Stopnie były trochę krzywe, wyłożone kamieniem. Skręcały spiralnie wokół ceglanego słupa postawionego tu parę wieków później niż najstarsze mury.

Wyszliśmy przez dawną zakrystię. Nietrudno było się bowiem domyšić, jaka była poprzednia rola tej budowli. Mury chciały sięgać nieba, podługne okna dawno pozbyły się kolorowych witraży, obecnie zamurwane do połowy wpuszczały do wnętrza światło jedynie górną częścią. Ściany wciąż pokrywało bogactwo zdobień i fresków. Gdy podniosłam głowę, ze ściany spojrział na mnie ubrany na czarno demon, którego oczy dawno straciły blask cytrynowej żółci i obecnie były jedynie wyblakłą

pozostałością diabelskiego spojrzenia. Pilnujący stropu cherubin stracił rękę i nogę. Stary ołtarz wykorzystano – stał się nowym miejscem ofiarnym, nową religią była nauka, a Bogiem wiedza. Pod sklepieniem krzyżowym stała ogromna maszyna licząca, która sięgała niemal stropu. Chowała się w swojej metalowej klatce. Ze śmiechem powitałam jej widok. Wiedziałam, jak bardzo Cerber jej nienawidzi.

Dumny jak paw, zadziorny jak kot, niezdarny jak niemowlę. Pan i władca PrzedSIONKA. Przypięli mi ręce i nogi pasami, zmoczyli głowę czymś zimnym i gęstym, nałożyli gumową maskę na twarz.

Chłód powoli oblepiał mnie całą, ściekał po ciele w dół. Poczułam w gardle ciało obce – potworność, którą wpychali mi do żołądka i płuc.

– Zaczynamy, szybko!

Usłyszałam głos, który zapowiadał, że będę musiała przetrwać horror. Wiedziałam bowiem, co mnie czeka. Czekałam na to ze strachem. Najpierw porwanie, niewiedza, przerażenie, a teraz już tylko oczekiwanie. Niech się już skończy. Niech znajdę wieczny spokój!

Z rurki wypłynął rzadki płyn, który zaczął mnie wypełniać. Jednocześnie dziesiątki igieł wbiły się w ciało, natleniając krew specjalną mieszkanką hemoglobinową (słyszałam, jak ją nazywali). W uszach huczało, choć to jeszcze nie był sam eksperyment, a jedynie przygotowania.

– Czekaj... Czekaj...

Podali mi coś, co rozluźniło przeponę, nie mogłam odkaszląć, zakrztusić się ani zwymiotować. Głos Cerbera był zaburzony, ledwie słyszalny. Ale poznałabym go, choćby mi wypalili uszy żywym ogniem.

– Jeszcze...

Stał przy swojej aparaturze, tuż przede mną. Obraz zamazywał się i rozpuszczał, oczy wywijają fikołki, zmysły tańczyły kankana. Niewyraźny cień w białym kitlu. Zawsze zakładał go do pracy. Znałam go. Tak dobrze go znałam.

– Jeszcze...

Careya i Antonia nie widziałam. Pewnie Careya posłał na dach, a Antonia zostawił w odwodzie – to było oczywiste. Cerber cenil jedynie inteligencję i hardość, siła fizyczna była dla niego wartością drugorzędną. Panowie

oprawcy byli więc podzieleni. Gdybym tylko miała siłę myśleć, jak to wykorzystać, może udałoby mi się ich na siebie napuścić. Może...

– Teraz!

Błysk, trzask. I zapłonęłam bielą, błękitem oraz wyblakłym fioletem.

### **Fragment 3**

– Widzę, że przykułem twoją uwagę – skwitował jego zastygnięcie dyrektor. – Świetnie. Tak, od dawna wiem, że wypuszczasz się na nocne przechadzki. Spytaś, czemu nic nie robiłem? Doceniam twój intelekt. Jest naprawdę... wybitny. Zupełnie wyjątkowy. Jednak nie pomoże ci on się stąd wydostać. Nawet byś tego nie chciał. Jak przetrwałbyś na zewnątrz? Nie. To nie to. Po prostu chcesz mieć tu, na miejscu, trochę lepszy żywot. Trochę więcej wolności. Trochę wyzwania. Chciałbyś jeszcze raz poczuć, że jesteś coś wart. No cóż. Ty mi pomożesz, a ja zadbam o to, żebyś miał większą swobodę w poruszaniu się po ośrodku. Przygotowałem nawet odpowiednie pisma do rady nadzorczej. Zainteresowany?

Milton oblizał spierzchnięte wargi. Zacisnął dłoń na uchwycie laski.

– Tak – odparł krótko.

– No i bardzo dobrze. Zaciekał cię pacjent. Rozmawiałeś z nim wczoraj, tak?

– Tak jakby... Wciąż miał w żołądku sondę. Ale był przytomny.

– Ano właśnie. Sonda została usunięta dzisiaj rano. Przyjmuje pokarmy płynne w miarę bez zakłóceń. Ale nadal nic nie mówi. A struny głosowe ma nienaruszone. Dziwne?

– Zdecydowanie. Tak poparzony człowiek powinien mieć obrażenia górnych dróg oddechowych, a nawet oskrzeli.

– Ano właśnie. Zajmiesz się nim dla mnie. Swego czasu umiałeś wyciągać z ludzi prawdę, zgadza się? Więc wyciągniesz z niego wszystko, co się da. Masz się dowiedzieć,

kim jest, co wie, skąd jest, co lubi i gdzie chodzi. Chodził. Bo już raczej tam nie pójdzie.

Profesor poczuł się zaintrygowany. Uniósł w górę srebrną brew:

– Nie wiecie, kim jest? I staruszek ma się dowiedzieć?

Naczelnik Home rozłożył ręce i ozdobił twarz krzywym uśmiechem.

– Nie ukrywam, że mam braki kadrowe, a większość psychiatrów, jakimi dysponuję, to idioci. A ty idiotą nie jesteś. Więc przyjmij ofertę albo ją odrzuć.

– Mam tylko jedno pytanie.

– No?

– Co już o nim wiadomo? Został przyjęty jako anonim? Tutaj? Do Imadła?

– Hm, tak. To pacjent specjalny. Ze względu na moją dobrą wolę powiem ci, że został przyjęty z uwagi na pewne podejrzenia służb rządowych co do swego pochodzenia. Nie ma jednak ciśnienia góry na wyciąganie z niego konkretnych informacji. Ten obowiązek ja nakładam na ciebie. Dowiedz się jak najwięcej. Nawal, a nie dostaniesz nic. Uznaj to za prezent z mojej strony. Sprawa pozostaje poza aktami. Oficjalnie zajmiesz się pracą przy pielęgnacji pacjentów. Niczego nie ryzykujesz. Mamy umowę?

Profesor Milton poczuł, że serce bije mu coraz mocniej.

– Zgoda.